

Antygona

NIE” powiedziała Antygona

Naprawdę nie wiem, kto ma rację. Może Kreon, a może Antygona. Jednego natomiast jestem zupełnie pewna — Antygona jest dużo sympatyczniejsza. Może udałoby się ją w jakiś sposób od śmierci uratować? Naprawdę szkoda młodej dziewczyny, która poza tym ma wyjść za mąż, kocha swojego chłopca i ma tylko dwadzieścia lat. No tak, ale wtedy trzeba by zmienić rolę. A tego już, niestety, zrobić nie można. Role zostały podzielone właśnie tak i zdaje się, że raz na zawsze. Już zawsze Antygona będzie miała rolę dobrą, a Kreon złą. Codziennie córka Edypa będzie umierać, a brat jej ojca będzie ją skazywał na śmierć. Tak być musi, bo ktoś gdzieś kiedyś tak właśnie podzielił świat i nic nie poradzimy chociaż zapewniam Was, że to nie jest przyjemne.

Tragedia wcale nie zaczęła się w momencie, kiedy brat Antygony — Polinejkes zginął obiegając Teby i został pozostawiony na polu bitwy bez pogrzebu przewidzianego obyczajem. I wcale nie wtedy, kiedy jego siostra wbrew rozkazowi króla przysypała trupa piaskiem, skazując się tym

samym na śmierć. Tragedia zaczęła się znacznie wcześniej, bardzo dawno temu, tak dawno że nikt już chyba tego nie pamięta. Jeśli byłoby inaczej, cała sprawa nie miałaby sensu. Wyobraźcie sobie, że ktoś przychodzi w środku przedstawienia, siada, patrzy, a potem wstaje i powiada: — Proszę przerwać natychmiast. Jestem niezadowolony z przebiegu wydarzeń. Ustawmy rzeczy w ich odmiennym porządku. Ty, Kreonie, uważasz, że dla dobra twego kraju w Tebach musi śmierdzić trupem? Ty, Antygono, ehcesz za wszelką cenę pochować twego brata? Mówisz „nie” wszystkim racjom politycznym, ehcesz pozostać wierna samej sobie? Podajcie sobie ręce, ustalcie wspólną akcję. Może można Polinejkesa pochować, choćby częściowo?

Widzicie, jakie to śmieszne? Człowiek, który przedkłada takie propozycje, po prostu nic nie rozumie. Nie rozumie, że Kreon i Antygona nigdy nie znajdą wspólnej drogi. Sprawa jest nadzwyczaj prosta i leży na dłoni. Tylko że naprawdę nie wiem, kto ma rację. Bo posłuchajcie:

naraz jak robotnik, który odmawia wykonania jakiejś pracy. Nie wydalo mi się to uczciwe. Powiedziałem „tak”.

ANTYGONA: Więc tym gorzej dla pana. Ja, Antygona, nie powiedziałam „tak”. Co mnie to może obchodzić — pana polityka, pana konieczność, pana nędzne historijki? Ja jeszcze mogę powiedzieć „nie” na wszystko, na co zechcę i sama jestem sędzią. A pan ze swoją koroną, ze swoimi strażnikami, z całą swoją królewską potęgą może mnie tylko skazać na śmierć, bo powiedział pan „tak”.

Prawda? Obydwoje mają rację, każdy ze swego punktu widzenia. Tych racji niesposób pogodzić i nikt nigdy na świecie tego nie dokona. Oczywiście Antygona jest dużo miłsza, ale posłuchajcie co mówi Kreon:

...Przecież potrzebni są ci, którzy powiedzą „tak”. Przecież potrzebni są ci, którzy pokierują łodzią. Ze wszystkich stron wdziera się woda, pełno zbrodni, głupoty, nędzy... A ster czeka szarpany falami...

...Sądzi, że ma się wtedy czas na subtelności, na zastanawianie się czy należy powiedzieć „tak” czy „nie”, na rozważania czy pewnego dnia nie przyjdzie zapłacić za to zbyt wielkiej ceny, czy potem będzie się jeszcze mogło być człowiekiem? Łapie się za ten kawał drzewa, prostuje przed górą wody, ryczy rozkaz i strzela w ciążbę, w pierwszego, który rusza naprzeciw. W ciążbę! Bezmienną. Która jest jak fala, co wali na pomost, przed siebie, wiatr, który cię smaga po twarzy, i to coś, co pada w ciążbę jest bezmienną. Może był to ten, który poprzedniego dnia podawał ci ogień usmiechając się. Już nie ma imienia. I ty także go nie masz, kurczowo wczepiony w drewno. Jedynie tylko tód ma imię — i burza. Czy ty to rozumiesz?

Oczywiście Antygona tego nie rozumie. I dlatego właśnie umiera. I właśnie teraz dochodzę do wniosku, że to jednak ona ma rację. Nie dlatego, żebym występowała przeciwko jej racji, tylko dlatego, że, że bez Antygony wszyscy mielibyśmy święty spokój, co jest zresztą powiedziane w sztuce. Ale dlatego, że gdyby nie ona, nie mielibyśmy nawet nadziei, że kiedyś może być inaczej. Ze kiedyś przestanie się poświęcać ludzi i ich życie w imię żelaznych konsekwencji politycznych. Ze może kiedyś nie będzie trzeba strzelać w bezimienny tłum, i tłumaczyć tego później wyższym dobrem dla tego właśnie tłumy. Ze kiedyś Kreon nie będzie z góry skazany na podłość, a Antygona na śmierć. Oczywiście, to nie nastąpi prędko. Na razie, jak się rzekło, role są podzielone i każdy gra swoją. Ale nie znaczy, że musi się to nam podobać.

Teraz wypadałoby napisać kilka słów o krakowskim przedstawieniu. Chyba trudno je nazwać udanym. Bo jeżeli nawet założymy, że wolno mi jako recenzentowi zastanawiać się przez godzinę po czyjej stronie leży racja, to reżyser (w tym wypadku Jerzy Kaliszewski) powinien wiedzieć to wyraźnie, przynajmniej w momencie wystawienia sztuki. Nie wyraził on jednak swego poglądu i jak wynika z przedstawienia dyskretnie pozostał w cieniu. Dekoracje Tadeusza Kantora nie są również rewelacyjne. Szare postumenty, po których skaczą aktorzy, próbując ustawić się w żywe obrazy, wyglądają nieco jednostajnie. Ładne są dziwadła zjeżdżające na drutach z sufitu i mające oznaczać, jak się domyślam, zagęszczanie się grozy na scenie, lecz zastanawiają, niestety, bardzo starannie namalowane na płótnie bramy Teb.

Aktorzy mieli bardzo trudne zadanie, a reżyser chyba nie pomógł im za wiele. Prawdziwą Antygona była Maria Kościółkowska i gdyby nie musiała ustawić się co chwila na wspomnianych piedestałach, myślę że jej i tak znakomita rola wypadłaby jeszcze lepiej. Strażnicy (Wiktor Sadecki, Michał Żarnecki i Jerzy Nowak) najspokojniejsi ludzie w sztuce, jedyni nie przeżywający konfliktów wypadli bardzo dobrze, jak również Kreon (Tadeusz Burnatowicz) i Piastunka (Jadwiga Żmijewska).

Osobne miejsce muszą poświęcić Haimonowi, narzeczonemu Antygony i zarazem synowi Kreona, którego udaje Julian Jabczyński. To był koszmar. Tupiący koszmar, bo Haimon dwukrotnie wybiega ze sceny tupiąc rozgłosnie. Złego wrażenia nie może nawet zatrzeć pierwszorzędnie skrojony letni biały garnitur i wielka muszka w kolorze srebrnym.

IRENA LEWANDOWSKA

*) J. Anouilh — „Antygona” tłum.: Z. Stolarek; reż.: J. Kaliszewski; scen.: Z. Kantor.

Na zdjęciu: M. Kościółkowska jako Antygona i J. Żmijewska jako Piastunka

KREON: ... Nie chcę dopuścić, żebyś ginęła w aferze politycznej. Zastępujesz na coś lepszego. Bo twój Polinejkes, ten cień oplakiwany i ze zwłok, który się rozkłada pośród moich strażników i ta cała patetyczność, która cię rozplonienia — to wszystko jest tylko aferą polityczną. Po pierwsze — nie potrafię się rozrzucać, lecz nie brak mi delikatności: lubię co czyścić, schludne, dobrze wymyte. Myślisz, że to mięso, gnijące w upale, mniej mierzi mnie niż ciebie? Wczoraj, kiedy wiatr wieje od morza, czuję już w palcu. Przyprawia to o mdłości. A jednak nawet okna nie zamykam. To nieszlachetne i — tobie powiem to również — głupie, potwornie głupie, ale Teby muszą czuć tę woń przez pewien czas. Myślisz, że nie każałbym go pogrzebać, chociażby ze względu na higienę? Zeby jednak ci nieokrzesańcy, którymi rządzą, zrozumieć, w całym mieście musi śmierdzić przez miesiąc trupem Polinejkesa.

ANTYGONA: Pan jest ohydny!

KREON: Tak moja mała. Zawód tego wymaga. Można tylko dyskutować, czy należy coś robić, czy nie. Ale gdy się robi, tak właśnie należy robić.

ANTYGONA: Dlaczego pan to robi?

KREON: Pewnego ranka obudziłem się jako król Teb. A bogu dobrze wiadomo, czy nie wolałbym czegoś innego w tym życiu, niż być potężnym...

ANTYGONA: Więc trzeba było powiedzieć „nie”!

KREON: Mogłem to powiedzieć. Tylko poczułem się

